TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II.Nr.30 /38/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 23/VII.1942.

W przeszłości przyszłość.

Gdy dziewięć miesięcy temu szczupła grupa pisarzy z kraju postanowiła założyć "Tygodniowy Przegląd Literacki", by w miarę swych skromnych możliwości służyć sprawie polskiej na terenie Stanów Zjednoczonych, nie mogło być mowy o stworzeniu jakiegoś wspólnego ideowego hasła, jakiegoś określonego kierunku społeczno-politycznego. Każdy z współpracowników osobiście odpowiada za treść swoich artykułów. Przecież właśnie w tej pozornej swobodzie indywidualnej nie było ani oportunizmu ani obojętności. Nie narzucając sobie żadnych doktryn czy haseł, przeniknięci byliśmy wzajemnym zaufaniem, wiedząc, że w pracy naszej nie zawiedzie nas najpewniejszy drogowskaz węwnętrzny, najgłębszy instynkt Polaka.

Nie do nas należy ocena, czy instynkt ten nas nie zawiódł, nikt nam jednak nie może odmówić dobrej woli i najrzetelniejszej oględności, której należy domagać się od publicysty w sprawach naszego kraju. Stosując krytyczną czujność wobec naszej działalności, z uwagą śledzimy, co myślą i mówią o nas nasi czytelnicy. Dziś już po otrzymaniu licznych listów i po przeprowadzeniu szeregu rozmów, obserwujemy ciekawe przeobrażenia w stosunku do naszego pisemka. Pierwsze zeszyty zostały powitane z życzliwością i z zaciekawieniem. Na dnie tej szczerej sympatii tkwił przedewszystkiem głód literackiego słowa, który odczuwał w stopniu niezwykłym emigrant, odcięty od źródeł duchowych kraju. Ale z tą przychylnością szła w parze niewiara w stałość naszego zamierzenia. Przypuszczano, że potkniemy się o pierwsze trudności, jakie w tych wyjątkowych warunkach musiały się przed nami piętrzyć. W miarę upływających miesięcy skupiła się naokoło nas nieliczna, ale zato wierna gromada stałych czytelników, o której wiemy nie bez zrozumiałego zadowolenia, że z niecierpliwością wyczekuje każdego następnego zeszytu. Jesteśmy skłonni mniemać, że fakt ten wolno nam tłomaczyć właśnie niezawodnością instynktu, który sprawia, iż bez haseł i formułowania doktryn Polacy są zawsze najgłębiej jednomyślni, gdy chodzi o najistotniejsze sprawy narodu. Przeto te 38 zeszytów, które dotąd się ukazały, mają swą wyraźną jednolitość duchową, swój odrębny wyraz uczuciowy i myślowy, stanowiący usprawiedliwienie i sens istnienia naszego pisma.

Nie mam żadnego upoważnienia ani tytułu moralnego, by być wyrazicielem poglądów naszych współpracowników. Pragnę jedynie dać wyraz osobistemu mniemaniu, nie jako współredaktor i jeden z autorów, lecz w charakterze współczytelnika. Niejednokrotnie spotkałem się z uwagą, iż tematycznie zbytnio stronimy od tych bieżących problemów politycznych i konfliktów codziennych, które napastują wątpliwościami przeciętnego Polaka. Jest w tem poglądzie nieporozumienie. Nasze aspiracje bowiem, podyktowane powołaniem pisarza, dotyczą tego, co ma wagę w narodzie, a nie w przelotnym pokoleniu. Nie znaczy to bynajmniej, że uciekamy od dzisiejszych problemów. Byłoby to niesłuszne i niegodne. Każdy zaś czytelnik naszego pisemka przyznałby, że sąd taki byłby niesprawiedliwy. Nie znajdzie bowiem ani jednego poematu czy artykułu, któryby nie był przeniknięty głęboką troską, bólem i wiarą w sprawach naszej ojczyzny. Jest to poprostu zrozumiałe, skoro spełniając rolę literatów, jesteśmy przedewszystkiem Polakami.

Ale poza tą naturalną misją wyraziciela uczuć Polaka na wygnaniu, uwydatnia się coraz jaśniej inna tendencja, nieporównanie większej wagi. W chwili, kiedy w kraju i na wszystkich kontynentach świata leje się krew polska w walce o najcenniejszy skarb narodu, o niepodległość - my, Polacy na emigracji, których nie spotkał przywilej walczenia z bronią w ręku, mamy najświętszy obowiązek stoczenia walki o Polskę w własnym sumieniu i w własnym charakterze. Powinniśmy z najgłębszej uczciwości naszego patriotyzmu wyczarować żarliwą tęsknotę do takiej Polski, wyzbytej zamętu i małostkowości, jaką przekazali nam nasi przewodnicy duchowi w ciągu wieków wspaniałych dziejów. Powinniśmy borykać się z przywarami naszego usposobienia, by przygotować się na powrót do kraju, by stać się godnym tego powrotu i by uzyskać niezakłócone niczem, jasne spojrzenie na nasze patriotyczne obowiązki.

Taką jedynie miarę stosujemy w ocenie bieżących i przyszłych problemów naszego kraju. Kto nasze stanowisko zrozumie i odczuje, spostrzeże rychło, że w pracach tygodnika są obecne te sprawy, które niepokoją Polaka. Lecz są one niejako wyodrębnione z przyziemnej zgiełkliwości zwaśnionych haseł i zawołań, z uprzedzeń i porachunków, personalnych i grupowych utarczek, by stały się nam jasne w swym istotnym, czystym, wysublimowanym znaczeniu.

Skąd należy czerpać tę miarę wyższego moralnego rzędu? Niewątpliwie z tradycji naszej kultury, ze wskazań naszych myślicieli i poetów, z tego wszystkiego, z czego jesteśmy dumni i co zawsze było nam ostoją moralną w ciężkich chwilach dziejów politycznych. Przekonaliśmy się nieraz że rozluźnienie tych duchowych węzłów sprowadzało na nas nieszczęście i słabość, a dochowanie im wierności dało moc i polot ideowy. Gdyby ktokolwiek zarzucił nam zbyt idealistyczne, ba, nawet poetyckie stanowisko wobec zagadnień praktycznych, dałby dowód, że nie docenia dynamiki twórczej idei i tradycji w budowie życia. Nasza tolerancja wyznaniowa i polityczna złotego wieku Polski, cała ideologia pisarzy politycznych, obraz Polski i Polaków w twórczości naszych poetów i powieściopisarzy - wszystko to, co jest naszą kulturą, musi być wskazaniem dla polskich polityków, ekonomistów, techników i wychowawców, jeżeli nie mamy kroczyć w przyszłość naszych losów poomacku. Niewątpliwie, świadomie lub nieświadomie, żołnierz polski walczy, mając taki obraz nowej Polski w sercu, złożony z najjaśniejszych promieni naszej przeszłości.

Z takim obrazem w sercu i my pragniemy spełnić naszą skromną służbę, by w miarę sił przyczynić się do wypracowania twórczej myśli.

Zenon Kosidowski

Serce za tamą.

Był duszny lipcowy poranek niedzielny, gdy na ławce w Central - Parku otworzyłem zbiór nowel Gustawa Morcinka "Serce za tamą" i przeniosłem się myślą na śląską wieś. Po trzech latach rozłąki obraz jej pozostał mi wierny, jasny i niezmącony, jakbym tę ziemię opuścił zaledwie miesiąc temu. Przed oczyma jeszcze miałem barwny korowód pątników piekarskich, idących wśród radosnego gwaru i śpiewów aleją lipową, tło kontrastowych stu odcieni złota i zieleni szachownic pól, kończących się gdzieś na horyzoncie lasem ciemno-szarych kominów, granicą miast i kopalni, z oddali dochodziła mnie melodia odpustowego "zagrodnika" i jak sienkiewiczowski latarnik byłem pod czarem prostego opisu, na który w innych warunkach rzuciłbym tylko okiem, uważając go za stereotypowy i banalny. Tu w Nowym Jorku w roku 1942 odzyskał swój walor autentyczności sentymentalnem wspomnieniem minionych dni.

"Słońce szło cichutko i nabożnie po niebie, jakoby ten stary ksiądz z monstrancją świętą w czas Bożego Ciała. Cisza była w powietrzu. Po błękicie tak czystym, jakoby go panny święte rosą wymyły, wędrowały chmureczki jasne w słodkiem zamyśleniu, słodkie i cudne, że aż w sercu coś dziwnie radosnego się działo, gdy na nich miękkiem spojrzeniem spocząć.

We wsi jakby wymarło. Koguty tylko swój dwór kurzy za sobą wodziły, koło wygrzewających się chałup jedzenia szukały, gderały żurzliwie bez przerwy, czasem komuś od złodziei wydziwiać wszczynały, z kominów niosły się błękitnawe smużki dymów obiednich a wróbliki ucieszny kiermasz w starych lipach czyniły. Poza tem cisza była. Z za lipowej kępy, co się bledziuchnemi listkami szczodrze wystroiła, biały kościół się bielił. Krzyż jeno wysoko ponad lipami wystawał, krzyż czarny z kawałkiem słoneczkowego złota na szczycie. Od tamtej kępy lipowej szedł ponad ziemią ściszony pogłos organowego grania, złoty jakiś i uroczysty a gdy się już całkiem rozpłynął i przez dłuższy czas nie wracał, rozdzwoniły się dzwony na Anioł Pański..."

Nie wiem, czy za lipową kępą bieli się jeszcze drewniany kościółek śląski i czy nad polami mikołowskimi dzwonią dzwony na Anioł Pański. Może w kościółek trafił zbłąkany pocisk artyleryjski lub bomba a dzwony zarekwirowano i przetopiono w pierwszym roku okupacji.

Ale wieś została. Został też czarny krzyż z kawałkiem słoneczkowego złota na szczycie. Stał tu jeszcze za czasów myślenickiego kronikarza, kiedy to "anno 1734 Companie Rusów z bardzo Cudzo Ziemskiego kraju Hismatycy z wielkim uprzykrzeniem ubogich Miasteczek i narodu Chłopskiego przez Śląsko przeciągali..", stoi dalej, panując nad okolicą i stać będzie niewzruszenie w dniach, w których spełni się proroctwo autora "Śpiących Rycerzy", poety śląskiego Jana Łyska: "...Idzie chwila, idzie chwila, że usz na czole hnet nie będzie nosić lud tej korony cierniowej. Jak się powali las, co rós na grobie, to się hnet wszecy ruszom, Tej nocy wykopiom wielki kamień złoty, co tam na wyrszczku gniecie piersi chłopom a potem zastęp żywych - silno się podwoi..."

Jest południe. Słońce wisi oślepiającą plamą nad olbrzymiemi konturami bloków Piątej Avenue. Czytam dalej Morcinka. Jak było w niezapomnianych historycznych dniach październikowych i - jak będzie:

"..Na rynku cieszyńskim mrowie czarnego pogłowia ludzkiego. Zwaliło się ludu coniemiara. Przyszli górnicy zawzięci, tamci z Karwinej i od Dąbrowej i z Łazów, ba nawet od Ostrawy, chłop w chłopa jak pieron, o twardych pięściach, złotych sercach a mocni w gębach, jak nie wiem co a

zapalczywi do bitki i rozeźloni, że aż strach. Kto nie z' ich bandy,niech zdaleka się trzyma. Kości gotowi policzyć. Gdy jeden z drugim gdzieś z "Franciszki" czy z "Gabrieli" zmiarkuje, że komuś Polska niczem - w zęby go wyrżnie i tyle będzie miał.

Przyszli i trzyńczanie. Chłopi naschwał, nie od parady. Chuderlawi z grubawemi kijami w łapach. Groźnie pokrzykują i laskami tłuką o bruk cieszyński i raz wraz w dłonie ciężko popluwają. Aż strach bierze. Od tych bracie zdaleka! Bo mają-ci twardą łapę, jakby z żelaza. Niech tylko kto mruknie - dajmy na to - że na Polskę gwiżdże, nieszczęsna jego godzina...Chryste Panie!...

Przyszli za robotnikami i chłopi dolanie i tamci górale z Istebnej i od Frydku i zewsząd. Chłopi jak buki. Rzekłbyś - same Ondraszki. Spluwają na ziemię i ryczą:

-Niech żyje Polska!...Niech żyje polski Śląsk!

Że aż echo po mieście leci.....

-A jak te pierniki gorolskie wrzeszczą - dziwują się górnicy.- Hawierze, czyśmy od macochy?! Teżmy se krzyknij! Ale wroz!...No, roz,dwa. trzy! Niech żyje Polska! Niech żyje nasza Polska, niech żyje!

Krzyk leci pod niebo, rozbija się po ulicach cieszyńskich, na cały świat wybiega... Sztandary polskie wykwitają czerwienią i bielą w szarej mglistości ponad czarnym tłumem braci robotniczej..."

Za sztuczną tamą teroru, za kolczastym drutem obozu - serce Ślązaka bije mocno, równo i miarowo. Jest zdrowe i pulsujące gorącą polską krwią, która upomni się o swoje prawa jak wtedy w październiku, gdy "przyszli górnicy zawzięci" i za galoty ściągnęli z trybuny niemieckiego komisarza miasta, by zrobić miejsce księdzu Londzinowi.

Przez sześć stuleci nie zdołano ich przekonać, że są Volksdeutschami. Trud był daremny. Wystarczyła jedna iskra, by tama runęła.

Jerzy Tepa

J a c e k.

Jacek jest to mój chrzestny syn i potroszę wychowanek. Jest jednem z dzieci znanej w całej Polsce pary naprawdę artystycznej, to znaczy się dwojga ludzi, którzy nietylko wzbogacili swemi talentami sztukę, ale też żyli z prawdziwą fantazją, czyniąc twórczością każde swe słowo, oryginalni we wszystkiem: w zaletach i wadach. Przeniknięci byli obojga zarazem świetną kulturą krakowską i jakże ożywczemi bakcylami, idącemi z tradycji "Zielonego balonika"; to co czynili w sztuce miało ten sam piękny polot co ich miłość i ich homeryckie kłótnie; kto ich nie znał, temu nic te moje słowa nie powiedzą, kto ich znał, odrazu zrozumie o kim mowa

Kiedy umarł ojciec Jacka, idąc za starym nakazem katolickiego kościoła, postanowiłem wejść w miarę możności w moje obowiązki "chrzestnego"; ponieważ Jacek kształcił się na prowincji i mimo wyraźnych jego różnych talentów jakoś mu nauka nie szła, ustaliliśmy na doraźnej familijnej radzie, że trzebaby mu dać okazję pokazania czego dokona w lepszych warunkach. I tak oto pewnego pięknego, wiosennego poranka znalazłem się wraz z Jackiem, w charakterze jego opiekuna,w gabinecie dyrektora jednej z wzorowych szkół warszawskich, aby przedstawić mu nowego wychowanka, poczym na osobności wszechstronnie, obiektywnie a życzliwie

wytłumaczyć interesujący psychologiczny wypadek.

Dyrektor był moim dawnym nauczycielem, z którym od złożenia matury nie często miałem okazję widywać się, to też od pierwszych słów odrazu odżyły między nami owe bardzo dawne lata.

Pamięć moich pierwszych wierszy, doskonale zapamiętanych przez dyrektora, wierszy bezlitośnie satyrycznych, a skierowanych właśnie przeciwko niemu / surowość jego była w nich złośliwie przeciwstawiona leniwej nieco dobroduszności jego poprzednika, którym był ni mniej ni więcej tylko prof. Manfred Kridl/ wspomnienia kretyńskich figlów uczniowskich i czar wiosenny, idący z ogrodu, otaczającego szkołę - przeniosły mnie nietylko do dawnych lat, ale jakby w sam świat najpiękniejszych czarów szkolnego życia, do ukochanej przezemnie książki Wiktora Gomulickiego "Wspomnienia niebieskiego mundurka". Wobec małego Jacka poczuliśmy się, mój stary nauczyciel i ja, niemal rówieśnikami i z czułością starszych krewnych, patrząc na niesfornego młodego Polaka, bez trudu porozumieliśmy się co do najżyczliwszej dla niego przyszłości w nowej szkole.

Moje rozczulenie nie przeszkodziło mi swoją drogą zauważyć, że Jacek odrazu po swojemu osądził nasze zachowanie się, że odkrył niezawodną dziecinną intuicją nasze miękkie serca i życzliwie ale nieodwołalnie uznał nas za poczciwych "frajerów", za "ofermy" jak się mówiło w legionach i za"ofiary bez kości" jak się mówiło w mojej szkole.

Tak oceniwszy sytuację, postanowił, zdaje się, w dalszej swej karierze szkolnej wyzyskać cały swój wdzięk, którym był równie hojnie jak lenistwem obdarzony, aby "bujać na całego" poczciwego dyrektora i nie kłopocząc się zbytnio wiedzą, tyle jej tylko czerpać, ile byłoby niezbędne aby ukończyć szkołę i móc zacząć życie według swej fantazji, dość jeszcze naówczas mglistej, ale w każdym razie zupełnie różnej od marzeń solidnych chłopców o rządowych posadach i szybkich awansach. Myślę, że tak postanowiwszy, przeprowadzał Jacek ten swój plan nietylko konsekwentnie, ale zdał się zupełnie na łaskę losu, zadufany w jego życzliwość.

Z nową, wzorową szkołą nie poszło lepiej niż z dawnemi i matura Jacka miast się przybliżać, poczęła się oddalać w nieokreśloną przyszłość tak że, mimo całej niechęci do patetycznego biadania, które mało kogo wprowadziło na dobrą drogę, musiałem nieraz,jak klasyczni ojcowie, zapytywać się w duchu:" Co też z tego chłopaka wyrośnie?"

Jacek bowiem najwyraźniej nie uważał za niezbędne żyć jak wszyscy inni ludzie. Chciał bardzo skończyć szkołę, aby zarabiać na życie i pomagać matce, a przedewszystkiem kupić sobie automobil. Ale żeby do tego tak prostego celu trzeba było iść tak zawikłaną drogą jak wkuwanie logarytmów, nauka fizyki i chemii, wzorowa ortografia angielska, to oczywiście wydawało się Jackowi przesadą i poprostu niezrozumiałem nudziarstwem starszych.

Miał od dzieciństwa wielki talent do rysunków, ale, umiejąc narysować co chciał tak, aby podobało się jemu i imponowało jego kolegom, nie przejmował się tem zbytnio, że Leonardo da Vinci rysował jeszcze lepiej. Kiedy był u mnie w Paryżu, zaprowadziłem go do Luwru w nadziei,że będzie tam spędzał z radością po parę godzin dziennie. Złudne nadzieje! Jacek obejrzał wszystko, zrobił kilka doskonałych uwag, świadczących o niezawodnym poczuciu koloru i kompozycji, ale za trzecią wizytą był już tak zniecierpliwiony, że zaniechałem dalszego zwiedzania przekonany, że albo Jacek nigdy na serio nie weźmie się do swej sztuki, albo że kiedyś nagle obudzi się w nim prawdziwa do niej miłość, że jednak żaden przymus nie może tego przebudzenia się przyspieszyć.

Był on Polakiem w każdym odruchu, we wszystkich umiłowaniach i słabostkach, w lot wyczuwał wszystko, co było szczególnie polskie w

sztuce, w mowie czy dowcipie, gdyby ktoś w jego obecności "obraził" księcia Józefa albo Kościuszkę napewno tak dostałby od Jacka "po mordzie" żeby "nakrył się nogami".

A swoją drogą któregoś dnia stwierdziłem z lekkim przerażeniem, że pojęcia Jacka o historii Polski są zupełnie subiektywne, że daty, kolejność faktów, przyczyny i skutki - wszystko to jest dla niego zupełnie zbędną komplikacją tej prostej i jedynie ważnej prawdy, że zawsze byli w Polsce "byczy faceci" jak Sobieski, Kościuszko, książę Józef i Piłsudski, którzy potrafili w odpowiedniej chwili zrobić to, co należało - to znaczy tak zbić Niemców, Turków czy Moskali, że została po nich tylko "tłusta plama".

Właściwie jedno było w życiu Jacka, co mu wydawało się zupełnie poważne, o czem mówił z ogniem w oczach, czemu życie mógłby poświęcić, co mu nie nudziło się nigdy, a co jak na złość nie prowadziło do żadnej kariery, żadnego zarobku, na czem zresztą nie znało się dziewięćdziesiąt procent znajomych Jacka, o czem z nikim niemal nie mógł rozmawiać poważnie, bo mało kto wiedział o tem tyle co on, a nikt niemal nie czuł tego jak on głęboko.

Jacek odziedziczył po swoim zmarłym ojcu pasję do gór, ściślej mówiąc do Tatr, pasję w której tonął bez reszty, która zdawała mu się zastępować miłość, sztukę, pracę, zwycięstwa ambicji, pasję zarazem prymitywną i najbardziej wyrafinowaną, bo były w niej nietylko miłość niebezpieczeństw i swobody, ale ten sam zachwyt dla koloru stawów, dla twardych konturów tatrzańskich, dla praaryjskich rytmów krzesanego, z których urodziła się sztuka Karola Szymanowskiego, Zofii Stryjeńskiej i Skoczylasa.

Ilekroć Jacek mówił o góralach, o swoich rozmowach z nimi, o porankach na hali, o wejściach na trudne szczyty, na jego dziecinnej twarzy pojawiał się wyraz skupienia i tak głębokie rozrzewnienie w oczach, że wszystko, co myślałem o nim jako o niepoprawnym próżniaku, który łatwo może najgłupiej zmarnować życie, chwiało się nagle, ukazując mi jakieś inne perspektywy, jakieś inne niedostępne dla mnie światy, może głębsze i piękniejsze niż te, w których dusimy się i drepczemy w kółko, światy, gdzie Jacek był sobą, gdzie wszystko wiedział, rozumiał i, gdzie on miał rację.

Mieszkając on w Warszawie a ja w Paryżu często długie miesiące zostawaliśmy bez wieści o sobie, tembardziej, że niedość miałem czasu na pisanie listów, a Jackowi oczywiście ani w głowie były takie sentymentalne faramuszki. To też po nieszczęściu wrześniowem długo nietylko nie wiedziałem, co się z Jackiem stało, ale nie wiedziałem nawet gdzie go szukać, nie wiedząc, gdzie się znajdował i co robił w chwili wybuchu wojny; daremnie starałem się dosięgnąć go przez różne osoby w neutralnych krajach, próżno wypytywałem tych, co przedostali się z Polski.

I otóż któregoś niedzieli, bodajże w kwietniu 1940 roku obudził mnie w moim mieszkaniu cichy, nieśmiały dźwięk dzwonka. Za drzwiami stał Jacek, ubrany, że pożal się Boże, nie można powiedzieć nieogolony, bo mu w siedemnastym roku ledwie wąs zaczynał się sypać, ale niemyty od paru dni, bez żadnego dosłownie pakunku, zawiniątka, jak to się mówi głupio "tak jak stał" przez wiele granic, wśród nieprawdopodobnych trudności aż tu przybyły z Polski, ażeby służyć w wojsku.

Co robił, gdzie był w czasie wojny - nietrudno było dowiedzieć się zanim nawet zaczął o tem szczegółowo opowiadać. Jeden palec od prawej ręki, po której wszyscyśmy się spodziewali, że będzie kreśliła piękne rysunkowe linie - miał Jacek odstrzelony przez karabin maszynowy, na dziecinnej, chudej piersi miał ciężką ranę od innej kuli, zęby na przo-

dzie wybite przy jeszcze innej wojennej przeprawie. Bóg wie jeden, jak on to zrobił, że znalazł jakiś pułk, gdy tylu szukało podobno nadaremnie swoich przydziałów - dość, że bił się dokąd mógł, a gdy nie mógł bić się w Polsce przedarł się do Francji, aby bić się dalej.

Różne znajome dobre panie zajęły się nim odrazu, chcąc przede - wszystkiem wyleczyć jego rękę, która była źle zoperowana, co groziło dalszemi komplikacjami. Gdyby chciał powoływać się na swój wiek, na swoje rany, mógłby łatwo uzyskać odroczenie czy zwolnienie z wojska, umieścić się w jakimś biurze, może z życzliwą pomocą napisać wspomnienie siedemnastoletniego bohatera. Trudno przypuścić, aby i on nie miał chwili wahań, aby wygodne łóżko, w którem spał pierwszy raz od tylu miesięcy, paryskie jedzenie, rozmowa z warszawiakami o dobrych czasach nie obudziły w nim choćby na chwilę dawnego lenistwa, aby nie pomyślał, że przecież nie wszyscy służą w wojsku, że on już, jak na swój wiek, zrobił dość dużo, że wreszcie rysuje tak pięknie, a na wojnie ginie tylu ludzi.

Ale kiedy zaczęliśmy poważną, ostateczną rozmowę o jego przyszłości, zobaczyłem w oczach Jacka ten sam głęboki blask z jakim dawniej mówił o górach, to samo rzadkie skupienie, które jego dziecinnej twarzy dawało czasami tak stanowczy, zacięty wyraz, ukazywało myśli i uczucia, o których mężczyźni nie mówią między sobą, tak są głębokie i silne.

W parę dni potym miałem pierwszy list od Jacka z frontu, list beztroski i radosny, chwalący jakiegoś świetnego porucznika, ciekawą służbę, pełen najlepszych nadziei na pójście do podchorążówki.

A parę dni temu miałem list po dwu latach milczenia, datowany ze Szwajcarii, pisany piękniejszym, bardziej wyraźnym niż zwykłe Jackowe, pismem i stylem, w którym poprzez ukrywaną melancholię ciężkiego żołnierskiego losu przebija dawna Jackowa pasja nabierania "starszych".

"Wszystkie te prace wpłynęły bardzo dobrze na rozwój mięśni, ale przytym okropnie schamiałem, zacząłem kląć nałogowo w trzech szwajcarskich dialektach, nauczyłem się popijać schnapsa, grać w oczko i pokiera i wiele, wiele innych rzeczy. Napewnoby mnie Pan teraz nie poznał. Bardzo się zestarzałem. Zapuściłem brodę, a swe wąsy zawijam za uszy: wogóle ot taki sobie szpakowaty starszy facet, siedzący na progu z fajką w bezzębnej szczęce i wspominający stare dzieje. Sypiam na pryczy pod skromnym kocykiem, jadam z menażki, palę machorkę i noszę stary, ale kochany mundur".

Drogi Jacku! Jeśli moje listy Cię nie dojdą, może dojdzie Cię ta stronica, pisana z wzruszoną myślą o Tobie i o Twoich kolegach z życzeniem, które wszyscy Polacy na całym świecie mają dla siebie nawzajem.

Cóż mogę Ci powiedzieć ponadto, że Twój stary mundur nietylko Ty kochasz, ale że kochamy go wszyscy, że jest on dla nas najdroższą rzeczą na świecie.

I że ściskam Cię z całego serca, Twój ojciec chrzestny

Jan Lechoń

P o l a c y w K a n t o n i e V a u d.

Kanton Vaud jest jednym z tych kantonów szwajcarskich, gdzie Polacy w szczególności lubili chętnie przebywać. Niewiadomo, co ich tu więcej przyciągało czy czar Lemanu z piętrzącymi się nad nim Alpami Sabaudzkiemi, czy też słowa, wyryte na godle kantonalnym: "Wolność i Ojczyzna", których brzmienie wywierało na nich zawsze silne wrażenie.

Przez kanton ten przewinęło się tysiące Polaków, których nazwis-

ka niejednokrotnie przeszły do historii.

Jedni przebywali tu chwilowo, niektórzy czas dłuższy, inni osiedlali na stałe. Pozostał po nich ślad w kronikach i zapiskach, w nazwiskach Szwajcarów, w nazwach ulic, w tablicach pamiątkowych, nagrobkach cmentarnych.

Lozanna, stolica kantonu, zawsze skupiała dość liczną kolonię polską. Pierwsze miejsce zajmuje oczywiście Adam Mickiewicz, który 100 lat temu był profesorem Akademii Lozańskiej.

Vevey, Morges, Montreux gościły wielu Polaków. Do dzisiaj spotyka się potomków dawnych uchodźców i emigrantów politycznych z lat 1846-48 i 1863. A chociaż niektórzy z nich zapomnieli mowy ojczystej, to jednak będąc wzorowymi obywatelami szwajcarskimi, mają poczucie polskiego pochodzenia. Wystarczy otworzyć książkę telefoniczną, aby rzuciły się w oczy takie nazwiska /czasem zdeformowane/ jak: Borkowski, Brozinewic, Blonitzki, Czyżewski, Dzierzbicki, Jabłoński, Lestchinski, Łowicki, Okolski Olchansky, Podlejska, Rokowsky, Strojewsky, Wakulski.

Tradycje polskie są złączone z wielką aktywnością Polaków, podczas pierwszej wojny światowej, oraz z takiemi nazwiskami jak Paderewski, Sienkiewicz, Jan Kucharzewski, Karol Lutostański, Osuchowski, Wierusz-Kowalski, Jeż-Miłkowski, Zygmunt Laskowski i wielu innych.

W tym czasie Lozanna stała się centrum działalności politycznej, zaś Vevey z Komitetem Pomocy Ofiarom Wojny centrum działalności charytatywnej. Morges, a właściwie "Riond Bosson", dom Paderewskiego, był duszą tych wszystkich poczynań.

Kiedy 22 stycznia 1915 r. ukazał się w "Gazette de Lausanne" artykuł Jana Kucharzewskiego, zatytułowany "Polska i Wojna", świetnie uzasadniający celowość wznowienia niepodległej Polski, natychmiast powstała organizacja o tej samej nazwie, której propaganda polityczna aż do końca wojny oddała nieocenione usługi sprawie polskiej. Z działalnością tej organizacji złączone są nazwiska: Sienkiewicza, Osuchowskiego, Janowskiego, prof. Zygmunta Laskowskiego, Władysława Mickiewicza, Narutowicza /pierwszego Prezydenta/, Bartoszewicza, Augusta Zaleskiego, Estreichera, Karola la Potulickiego i innych.

W Lozannie również powstała pierwsza polska agencja prasowa, której biuletyny informowały prasę całego świata o sprawach Polski dotyczących, od 15 sierpnia 1915 r. do 11 czerwca 1919r. Wynikiem jej działalności był akt polityczny, znany pod nazwą "Protestu Lozańskiego"przeciw proklamacji 5 listopada 1916 r.

Biuro Komitetu Narodowego w Paryżu, powstało z tej pierwszej polskiej agencji prasowej. Na terenie Lozanny również rozwinęli działalność polityczną dla Polski dwaj późniejsi posłowie Rzeczpospolitej: J. Modzelewski oraz obecny poseł polski w Bernie Aleksander Ładoś. Działał i pisał również zmarły znakomity historyk profesor Szymon Aszkenazy.

Działalność Polaków w kantonie wodejskim wyrażało się w różnych dziedzinach. Poza organizacjami politycznemi, z uwagi na skuteczność i rozmiary działalności, należy wymienić "Dom Polski" w Lozannie, pozostający pod dyrekcją pracowitej Heleny Pileckiej, oraz również w Lozannie "Klub Polityczny", którego celem było urządzanie odczytów, organizowanie referatów.

Wydarzenie, które do dziś dnia jeszcze staje żywo w pamięci nietyle Polaków, bo tych zapewne garść jeno pozostała, ile raczej starszych mieszkańców Vevey, był pogrzeb Sienkiewicza w tym mieście, zmarłego 15-go listopada 1916 roku. Pogrzeb ten był wielką manifestacją polską na ziemi wodejskiej, z udziałem nietylko licznych Polaków z całej Szwajcarii, ale również z przedstawicielami władz Konfederacji państw zagranicznych oraz światowej elity intelektualnej, która pragnęła oddać ostatni hołd twórcy "Quo Vadis".

Uniwersytet Lozański, w którego murach tablica pamiątkowa ku czci Adama Mickiewicza, świadczy wymownie o uznaniu dla wieszcza Polski, dał światło wiedzy licznej młodzieży polskiej, która znalazła tu wolność nauki i miłą gościnę. Maria Dąbrowska, która ukończyła tu studia w 1907 r. pięknie odmalowała życie ówczesnej kolonii polskiej w powieści "Dnie i noce". Jak pisze Jan Hulewicz w książce "Polska-Szwajcaria", w okresie od r. 1864 do 1918 - 620 Polaków studiowało na Uniwersytecie Lozańskim, przeważnie medycynę i filozofię. Uczony światowej sławy prof. Kazimierz Strzyżowski, zajmował katedrę medycyny od r. 1902 do zeszłego roku, osiem Polaków /w tym jedna kobieta/ było asystentami. Młodzież polska, żywo interesując się sprawą narodową, w czasie wolnym od nauki zaprawiała się w sztuce wojennej. To też kiedy stworzony został "Związek Walki Czynnej", oddziały w Lozannie i Morges ćwiczyły energicznie w nadziei bliskiej rozprawy orężnej. Nie sposób jest w krótkim artykule wymienić wiele innych faktów z niedawnej przeszłości, faktów które pozostawiły trwałe ślady "narodu w drodze"

Pracowitość Polaków, ich entuzjazm, energia, umiłowanie ojczyzny, znalazły zrozumienie i uznanie wśród Szwajcarów, którzy nietylko iż darzyli osobistą przyjaźnią wielu naszych rodaków, ale zachowali szczere uczucia sympatii dla całego narodu polskiego.

Dziś ponownie garść polskich uchodźców znalazła tu schronienie, tak jak dawniej rodziny polskie znalazły gościnę w Lozannie, Vevey, Montreux, Morges. Wraz z falą nowych uchodźców, znaleźli się również niektórzy z tych, którzy w latach poprzedniej wojny już tu raz przebywali. Są również i tacy, którzy obrali tu sobie stałe miejsce pobytu. Wspomnieć tu należy przyjaciela Paderewskiego, znakomitego uczonego muzyka, niedawno zmarłego H. Opieńskiego. Morges, w którym długie lata mieszkał, nazwało jedną z najpiękniejszych swych ulic według jego nazwiska.

Niektórzy z Polaków pracują indywidualnie, pracują dużo, pomagają wszędzie tam, gdzie można i - gdzie niemożna. Wspomnienia niedawnej przeszłości, piękne rezultaty, są dla nich źródłem energii. Pragnęliby bardzo czuć rytm tej pracy, pragnęliby widzieć jej owoce. Pomimo, że z Paderewskim odszedł największy obrońca Polaków, najwyższy autorytet polski, Polacy w Szwajcarii nie pozostają na uboczu we wspólnym wysiłku i w ponoszeniu ofiar dla umiłowanej Ojczyzny.

Dr. St. Liberek

Time bomb.

Powieść.

C.D.

-Powiedziałem, że robi to, co mu się opłacało robić, a nie koniecznie wciąż opłaca. Nawyk raz wytworzony istnieje dalej, choć nie raz już się nie opłaca. Lady Fair słucha na dwu łapach Gilberta, choć od dawna już się jej nie czesze. Są przecie nawyki szkodliwe, nawet sprawiające przykrość, które jednak nie zanikają.

-Ale przecie możnaby oduczyć tę Lady Fair?

-Czy zupełnie - to nie jest pewne. Rosyjski uczony, Pawłow, twierdzi, że odruch raz wytworzony nigdy nie zanika całkowicie. Zdaje się, że jeżeli nawet zaniknie, odrodzi się, gdy wróci dawny bodziec. To znaczy - jakiś nowy Fuhrer. -

Odpowiedź asystenta była rzeczowa i na chwilę urwała dyskusję. Profesor chciał skorzystać z tego i cicho wymknąć się do sali operacyjnej, ale Wanda znowu nie pozwoliła. - Niechże pan nas teraz nie zostawia, kiedy nikt nie wie, co z nim zrobić! -

-Ja jestem tylko chirurgiem- usprawiedliwiał się -Dla chirurga bodźcem jest pacjent, a odruchem operacja...

-Ale to jest nawyk szkodliwy i teraz trzeba myśleć jak zoperować mu

Uniwersytet Lozański, w którego murach widnieje pamiątkowa tablica ku czci Adama Mickiewicza, świadczy wyraźnie o uznaniu dla Wieszcza Polski, dla świata nauki. Wiedzy lozańskiej [illegible] polskich, który znalazła tu wolność naukową i dach gościny. Maria Dąbrowska, która ukończyła tu studia w 1907 r. i później odmalowała życie ówczesnej kolonii polskiej w powieści "Noce i dnie", jak pisze Jan Kulewicz w książce "Polska-Szwajcaria", w okresie od r. 1859 do 1918 - 520 Polaków studiowało na Uniwersytecie Lozańskim, szczególnie medycynę i filozofię. Uczony światowej sławy prof. Kazimierz Strzyżowski, zajmował katedrę medycyny od r. 1902 do zeszłego roku, ostatnio [illegible] jedna kobieta, była asystentem. Młodzież polska, [illegible] tłumnie się sprawą narodową, w czasie wolnym od nauki zaprawiała się w sztuce wojennej. To też kiedy utworzony został "Związek Walki Czynnej", oddziały w Lozannie i Morges ćwiczyły energicznie w każdej chwili gotowe do wyprawy orężnej. Nie sposób jest w krótkim artykule wymienić wiele innych faktów z niedawnej przeszłości, faktów które pozostawiły trwałe ślady "narodu w drodze".

Pracowitość Polaków, ich entuzjazm, energia, umiłowanie ojczyzny, znalazły zrozumienie i uznanie wśród Szwajcarów, którzy nietylko ich darzyli uczuciami przyjaźni w dniu naszych rodaków, ale zachowali szacunek i uczucia sympatii dla całego narodu polskiego.

Dziś ponownie garść polskich uchodźców znalazła tu schronienie; tak jak dawniej rodziny polskie znalazły gościnę w Lozannie, Vevey, Montreux, Morges. Wraz z falą nowych uchodźców, znaleźli się również niektórzy z tych, którzy w latach poprzedniej wojny już tu raz przebywali. Są również i tacy, którzy obrali tu sobie stałe miejsce pobytu. Wspomnieć tu należy przyjaciela Polski, [illegible] wielkiego, [illegible] pochodzenia, znanego muzyka, młodzieńca z [illegible], [illegible], w którym dziś przez długie lata mieszkał, nazwał jedną z najpiękniejszych swych ulic według jego nazwiska.

Niektórzy z polskich przeszli indywidualnie, przeszli dużo, pomagali [illegible] - życie nieznane. Wspomnienia niedawnej przeszłości [illegible] są dla nich źródłem energii. [illegible] Polaków, nadużyły autorytet polskiego w Szwajcarii [illegible] na wzór we wspólnym wysiłku i w [illegible] miłości dla umiłowanej Ojczyzny.

Dr. St. Lilberg.

Powieść.

T i m e   b o m b.

G. L.

-Powiedziałem, że robi to, co ma się opłacić robić, a nie koniecznie wolno opłacać. Naszą nas wybaczony zamiar [illegible], choć nie raz już się nie opłaca. Kiedy była ich nad dwa [illegible], choć od dawna już się jej nie opłaca. Ta prawie nazwał [illegible], nawet sprawiających prawdziwość, choć jednak nie [illegible].

-Ale przecież możemy odnaleźć te Lady Nell?

-Czy zapomniałeś - to nie jest prawda. Rosyjskie narody, [illegible], że dzieje się, że jeśli że odruch nas wytworzony nigdy nie zmieni codziennie. Zdaje się, że jeśli nawet gdyby nie odnaleźć się, gdy [illegible] damy, [illegible] - jeśli nowy [illegible].

Odpowiedź asystenta była rzeczowa i na chwilę urwała dyskusję. Profesor chciał skorzystać z tego i ciało wymknąć się do sali operacyjnej, ale Wanda znowu nie pozwoliła. - Niech że pan nam teraz nie zostawia, kiedy nic nie wie, co z nim zrobić!

-Ja jestem tylko chirurgiem- usprawiedliwiał się - Nie chirurga bodźcem jest problem, a ograniczam operacje...

-Ale to jest naszy szkodliwy, i teraz trzeba myśleć jak zoperować to

te odruchy! Niech sobie ten Pawłow gada co chce,a ja jestem pewna,że gdyby taki majster -wskazała na asystenta - zabrał się do niego tak jak do tej Lady Fair,facet po miesiącu plułby na swystykę!

Pomysł ten podobał się wszystkim,Toby dopiero było! Żeby tak naprawdę! I wiadomo byłoby jak po wojnie leczyć Niemców tymi odruchami...

-A dla pana to przecie drobiatg zrobić taki odruch!

Profesor usiadł z powrotem. -Właściwie,panie kolego, wyrtoby o tem pomyśleć.Chodzi tylko o odruch gruczołów ślinowych...

-Widzi pan! Pan profesor uważa,że to jest możliwe!-namawiała go poważnie Mrs White. Asystent przemocą wstrzymywał śmiech,żeby nie urazić staruszki.

-Watson wierzy,że kiedyś takie rzeczy będą możliwe...Że kiedyś powstaną szpitale,w których będzie się zmieniało całą osobowość człowieka.

-No więc niechże pan już zaczyna! Tu ma pan właśnie taki szpital! - Wanda pełna entuzjazmu zwróciła się do profesora - Prawda?

-Oczywiście! Wszystkie operacje osobowości oddaję panu!

-I po miesiącu może pan pokazywać niemieckiego oficera,który płacze z rozczulenia na widok Żyda!

-Świetna idea,panie kolego! Trzebaby tylko pokazywać mu Żyda i równocześnie krajać cebulkę, a po pewnym czasie sam widok Żyda będzie wywoływał odruch gruczołów łzowych!-Profesor zwrócił się do Webera.-Musi pan zdobyć parę worków cebuli.

Dotychczas nikt nie wiedział z pacjentów,co ma naprawdę myśleć o projektach Wandy.Były one zbyt naiwne,żeby brać je poważnie,ale i zbyt ponętne,żeby rezygnować z nich.Dopiero teraz,gdy profesor zamówił tą cebulę,stało się jasnem,że żartuje. Nie można przecie wierzyć w obudzenie serca w tym Niemcu i współczucia dla Żydów sztucznym wytwarzaniem łez przez krajanie cebuli! /Ciąg dalszy nast./

<u>Antoni Gwojdziński</u>

Następny numer "Tygodniowego Przeglądu Literackiego" zawierać będzie szereg artykułów i wypowiedzi w sprawie szalejącego terroru niemieckiego w Polsce.